

ZYGMUNT TRZEBIŃSKI

Z DOKUMENTÓW PRZESZŁOŚCI.

# Ratusze czyli Wietnice w Polsce.

Jak wiadomo, długie lata w miastach Polski przeważał żywioł cudzoziemski, przeważnie niemiecki, handel i rzemiosła ogniskujący. Ztąd, poczynając od nazwy Ratusza, a kończąc na wewnętrznym ustroju gospodarczo-administracyjnym i zabudowaniu, pierwiastek niemiecki z przeszłości miast naszych wszędzie widać. Nazwa Ratusz np., aczkolwiek w języku polskim odpowiednik w Wietnicy znajduje, wywarła go całkowicie, zarówno z mowy potocznej, jak i literatury, przysłów i pieśni ludowych. Niemniej jednak zabytki wietnicowe, siedziby władz miejskich, które pierwsze wyłoniły straż bezpieczeństwa, jako organizację odrębną, stała i stopniowo rozwijającą się do obecnej formy i zadań, wzbudzać winny zainteresowanie w czytelniku naszym, pragnącym poznać źródła sił i zdolności administracyjnych w Polsce.

Ratusze, jako siedziby władz miejskich, reprezentujących dobytek, rozkwit i kulturę miasta, wyróżniały się monumentalnością i artystyczną strukturą z pośród innych budynków, często z nierniejszą, choć skromniejszą w rozmiarach stanowczością i przepychem wznoszonych.

Z miast polskich ten ostatni zabytek średniowiecznego wymiaru sprawiedliwości zachował w całości Poznań. Jest nim przęgierz, zwany także „piłatem”, w postaci słupa kamiennego na podmurowaniu, ozdobionego u wierzchu, figurą rycerza, z mieczem podniesionym. Ustawiony w r. 1690 przed ratuszem poznańskim przetrwał do chwili obecnej, stanowiąc charakterystyczne uzupełnienie przepięknego, wspaniałego, ale też i nie pozbawionego ducha owej epoki, gmachu ratusza.

Słupy takie, może mniej ozdobne, ale równym celem poświęcone, widniały przed innymi ratuszami w Polsce. Pod nimi kat ścinał głowy skazanym na śmierć i smagano przestępców. Do słupa tego przywiązywano oszustów, lichwiarzy (dzisiejszych „paskarzy”) dla pokazania ich ludowi w hańbie publicznej. Tu też piętnowano i „wyświecano z miasta” (tak nazwano wygnanie, gdyż pacholkiowie miejscy wyprowadzali wygnańców za bramy miasta przy świetle pochodni) występnych, a niepoprawnych mieszkańców.

Pręgierz był najczęściej używany w stolicy, gdzie znaczna ludność, stek awanturników i oszustów, a surowość artykułów marszałkowskich były powodem, iż w sądach marszałkowskich zapadały często wyroki na chłostę publiczną. Chłostał najemnik, zwany: niedobry, budel, szargan czyli hycel. Jeszcze w r. 1851, jako echo ostatniej tradycji, odbyła się taka egzekucja publiczna chłosty na kupcu tykocińskim Rafałowiczu, skazanym na 25 plag. Wobec braku już przęgierza w Tykocinie policjanci w obecności burmistrza odmierzili karę na rynku pod pomnikiem Stefana Czarnieckiego.

Drugim, niezbędnym akcesorium wymiaru sprawiedliwości była „kuna”, czyli klatka żelazna orza dyby, w które osadzano na widok publiczny szczególnie zbyt swarliwe niewiasty. Taka kuna stała przy ratuszu Staromiejskim w Warszawie, istniejącym pośrodku Rynku Starego Miasta do roku 1819-go, poczem, jako strawionego kilkakrotnie pożarem i chwiejącego się do upadku rozebranym i przeniesionym do przebudowanego na ten cel pałacu Jabłonowskich na tak zwanym Marywilu, a dziś placu Teatralnym. Ratusz ten się spalił w roku 1863 i odbudowany następnie, według obecnego wyglądu t. j. z nadbudowaniem wieżyczatowni, mansardowych dachów oraz wniesieniem nowego skrzydła, mieszczącego przez dłuższy czas biura policji rosyjskiej, później okupacyjnej niemieckiej, a obecnie—Komisarza Rządu.

Jednak ani ten ratusz, ani jego poprzednik na rynku Starego Miasta nie dorównywali wspaniałości i walorem historycznym ratuszom innych miast polskich, jak w Poznaniu, Toruniu, Lwowie (zeszpeconym przebudową na inny cel), Krakowie (z którego pozostała na Rynku Marjackim tylko jedna wieża) no i najwspanialszemu z ratuszów Rzeczypospolitej ratuszowi starożytnemu w Gdańsku, który stanowi jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa europejskiego.

O charakterze i przeznaczeniu ratuszów, jako przybytku władz miejskich dosadnie mówią przysłowia ludowe, jak np. według Rysińskiego: „Nie wołaj-boć wezmą gębę na ratusz”; „Do kościoła—kiedy chcesz, a na ratusz—musisz”; „Wszyscy mądrzy, gdy wracają z ratusza”. Dowodziło to snadnie, że na ratuszu wdrażano energicznie i bez ceremonji powinności obywatelskie.

Ordynacja samorządu miejskiego, acz indywidualna dla każdego z miast opierała się głównie i długo na t. zw. prawie magdeburskim, uzupełnionym i modyfikowanym przez przywileje królewskie dla poszczególnych zawodów.

Organizacja władz miejskich przechodziła różne fazy ustroju i dopiero za Stefana Bato-rego ujęta została w Warszawie w pewne formy określone i pozwalające wszystkim mieszkańcom miasta, acz w nierównym stopniu decydować o sprawach miasta przez swych przedstawicieli.

W dniu „Katedry św. Piotra” (22 lutego) rada miejska, ława i panowie gminni wybierali z pośród rajców dwóch kandydatów, z których jednego starosta, lub podstarości mianował burmistrzem. Burmistrz dobierał sobie jednego rajcę, ci we dwóch—trzeciego; we trzech—czwartego, we czterech—piątego i t. d., aż do sześciu. Skompletowana w ten sposób „rada siedząca” obierała z pośród rajców dawnych

„radę starą”, składającą się również z sześciu członków, a mającą za zadanie współdziałanie w kierownictwie gospodarką oraz rozpatrywanie apelacji od wyroków „rady siedzącej”. Rajcowie nie otrzymywali wprawdzie za swą pracę żadnego stałego wynagrodzenia, ale korzystali z wielu przywilejów i ulg, opłacających się wcale nieźle.

Najbliższym współpracownikiem rady miejskiej była „ława”, składająca się z dwunastu członków wybieranych przez radę na przedstawienie ławników. Na czele „ławy” stał starszy ławnik, mianowany przez radę miejską. Pierwszorzędną rolę w działalności ławników odgrywało sądownictwo, wykonywane łącznie z urzędem wójtowskim. Obok tego jednak występowali oni jako część składowa władz miejskich przy wydawaniu uchwał obowiązujących. Ławnicy również nie otrzymywali stałego wynagrodzenia, lecz dzielili się z funduszów wnoszonych spraw i korzystali z pewnych ulg i przywilejów, nie współmiernych jednak z rajcowskimi.

Trzecim składnikiem zarządu miejskiego byli mężowie zaufania ze strony pospólstwa. Rajcy starego i nowego porządku wraz z ławnikami i starszemi cechów powoływali pospólstwo na ratusz i tu, za zgodą całego zgromadzenia wybierali dwudziestu „panów gminnych”. Wybrani w ten sposób „panowie gminni” mieli przestrzegać ładu i porządku w załatwianiu, rozpatrywaniu i decydowaniu spraw miejskich. Na czele kolegium panów gminnych stał starszy. W razie nieporozumienia między gminnymi a radą odwoływano się do decyzji króla. Szafarze funduszów miejskich mieli obowiązek zdawać gminnym rachunki z funduszów i majątku miejskiego; gminni zaś mieli obowiązek zwracania się do rady celem porozumiewania się z nią.

Taki system kompletowania władz miejskich musiał im nadawać pewną stałość, oraz zapobiegał gwałtownym starciom i zmianom. Wszelkie różnice zdań łatwo było załagodzić i usunąć.

Wójt, przewodniczący sądom powoływany był przez króla, a właściwiej—urząd ten bardzo lukratywny, odkupywał od spadkobierców zmarłego wójta. Następnie wójta powoływała rada.

Nadto nad porządkiem w mieście czuwała straż starościńska, również w halabardy i kusze zbrojna. Później zluźowali ją węgry marszałkowscy, stanowiący regularne oddziały wojska.

Za czasów Rzeczypospolitej organizacji policyjnej w dzisiejszym pojęciu jeszcze nie znano. Powstała ona dopiero za pruskich rządów w Warszawie, rozwinęła się nieco w okresie Księstwa Warszawskiego, a ustaliła i objęła kraj cały w Królestwie Kongresowym. Miasta jednak utrzymywały czas dłuższy własnych pacholków zbrojnych.

J. J. KRAKOWSKI.

## PAN REDAKTOR.

Antek Gwizdała „redaktorem” zwany, dął się na całe gardło, przebiegając ulicę: „Kurjer pora-a-a”, „Gazeta Warszawska”, „Robo-o-tnik”.

Miał niemałą rutynę, nabytą kilkoletniemi doświadczeniem. Wiedział co komu „wetknąć”. Znajomość „fachu” drogo Antka kosztowała. Dużo obelg wydrwisk, bał nawet szturchańców otrzymać nim się dowiedział jakie ludziska mają upodobania i że każda gazeta ma ci swój „sos”, choć te same wiadomości podaje. Nie dziwo-wać się, że co dla jednego pachnie, drugiemu śmierdzi.

Klijentelę miał stałą, którą uważał i nie nabijał w butelkę, zato przygodnych kupujących gazety, lekcewazył sobie. Moskali, a następnie szwabów wprost nienawidził, to też „bujal” ich po swojemu. Bywało na początku wojny Antek krzyczy, wtykając gazetę Moskalowi: „Zdobycie Berlina z Wilusiem na tronie przez jednego kozaka”, to znowu: „pobicie moskali przez legionistów”...

A kiedy się szwaby po kraju rozlaży, Antek zawiał się na te „szkopy”.

Idzie ci taki sztywny lejtnant, jakby kij polknął z szybą w oku, a Antek krzyczy: „Parzy pod nosem, Verdun prawie w łapie, szwabanie bierze i w... plecy się drapie”.

Antek był psychologiem nielada.

Jakiś starszy pan na przystanku tram-

wajowym w wytartym paltociku nieokreślonego koloru z twarzą tak dziwnie smutną, choć uśmiechniętą zda się, musi jest nauczyciel, bo mu się szubaki kłaniają, więc mu „Gazetkę” lub „Warszawskiego” proponuje.

W głowie chłopca nie może się pomieścić stawiane sobie wciąż pytanie: czemu te pismaki nie trzymają „sztaby” i to jest jego niemałym utrapieniem, boć inaczej nie potrzebowałby się głowić, sprzedając gazety.

Razu pewnego Antek miał zły dzień. Deszcz lał, wiatr wył, łście psia pogoda. Ale na ulicach psa, ani widać, tylko Antek z paczką gazet za pazuchą przemokły, znekany i smutny, że bibuły nie sprzedał wlecz się na „Zapiecek”, gdzie kątem mieszka.

W domu zimno, wilgotno.

Stary porwany siennik służy za otomanę. Wali się Antek na ten sprzęt, wtyka torbę z gazetami pod łepetynę i usiłuje zasnąć.

Twardo, niewygodnie, szelest gazet. Zmęczenie zwycięża, odrętwienie obejmuje gnaty...

Wyraźnie słyszy Antek, że w torbie z gazetami, służącej mu za poduszkę, coraz hałasliwiej... Torba wygina się, olbrzymieje, klapy jej rozstwierają się jak wierzaje i wala przez nie jakieś maski, a na czele każdej widnieje jakiś napis... Wyteża wzrok, sylabizuje: „Gazetka”, „Robotnik”, „Warszawski”, „Poranny”, „Polski” etc. etc.

Postacie kłębią się, za łby się chwytają, wrzeszczą. Antka chwyta na to wszystko

„szewcka pasja”, ale jest jak sparaliżowany — ruszyć się nie może. Aż oto kroczy nowa postać poważna, spokojna, a na łbie ma napis: „Gazeta policji państwowej”. Poważnione maskiary ucichły i suną do nowego przybysza. Zrazu przyglądają mu się uważnie, a potem usiłują przeciągnąć na tę lub ową stronę. Na twarzy nowoprzybyłego błąka się uśmiech pobłażliwy. Wyraźnie słyszy Antek jego głęboki, meski głos: „szanuję przekonania was wszystkich, ale nie pójdę za wami, ani na lewo... takim już jest mój posterunek... uprzedzam jeno, że porządek i spokój być musi”. Skonfundowane postacie wala przez te same wrota do... torby Antka, ale o dziwo, sunie tam i ta co porządek czyniła: „Gazeta policji państwowej”... Antek nie oponuje, owszem przez sen czule się doń uśmiecha...

Zbudzony krzykiem kulawego Walka z facjaty, zrywa się Antek na równe nogi. Nie odpowiada na pytania towarzysza, jeno chwyta swą torbę pełną niesprzedanych gazet i nerwowo czegoś szuka... Znalazł... Był to numer „Gazety Policji Państwowej” dany mu przez pana dzielniczego.

Czemu patrzysz na tę bibułę jak wrone w gnat, pyta Walek?

Ale, bo to widzisz, żeby nie „ta”, na śmierć by mnie maskiary zadławiły